

Krystynę Jandę publiczność częstochowskiej filharmonii zobaczyć może dziś wieczorem w monodramie „Kobieta zawiedziona”.

Natomiast wywiad, jakiego słynna aktorka udzieliła kilka dni temu naszej reporterce, publikujemy na str. 4.

KRYSTYNA JANDA O SOBIE

# Całą sobą... do przesady

Kiedy była małą dziewczynką, uwielbiała robić przezrocza - pod szkłem układała kolorowe papierki i złotka. „Skarby” te zakopywała w ziemi. Najbliższym koleżankom mówiła o miejscu, gdzie je ukryła. Dzisiaj na scenie częstochowskiej filharmonii wystąpi w monodramie pt.: „Kobieta zawiedziona”. Z Krystyną Jandą rozmawiała Aneta Nawrot.

- Jest Pani absolwentką liceum plastycznego. Dlaczego po maturze nie kontynuowała Pani nauki w tym kierunku?

- Gdybym nie zdała do Szkoły Teatralnej, dalej zajmowałabym się plastyką.

- Jako 24-letnia dziewczyna zadebiutowała Pani u Wajdy, w „Człowieku z marmuru”. Czy wówczas uważała Pani, że jest to już sukces?

- Po pierwsze nie uważałam, że to sukces. Było tak wiele negatywnych ocen tej roli... Potwornie źle pisali. Nawet przez moment nie odczuwałam tego filmu jako mojego sukcesu. Oczywiście miałam świadomość, że wszystko jest jeszcze przede mną, ale nie zdawałam sobie sprawy, że ta rola jest tak ważna, że ustawi całe moje życie zawodowe. Wtedy po prostu martwiłam się, że źle zagrałam, i że mnie nie lubią. Plakałam. Ogromnie chciałam być lubiana przez wszystkich. Taka byłam głupia... (śmiech).

- Nie boi się Pani zaszukania, tego, że wielu kojarzy panią jedynie z Agnieszką z „Człowieka z marmuru”?

- Myśli pani, że po 20 latach pracy i około 100 rolach to możliwe? Spotykam się najczęściej z publicznością, która wychodzi po moich spektaklach teatralnych. Rozmawiamy o tym, co zobaczyli. To, co staje się co wieczór, te słowa, które słyszę od ludzi oglądających mnie na scenie, nie mają nic wspólnego z Agnieszką, w ogóle z tamtą częścią mojej kariery. Agnieszka jest i będzie moją zawodową wizytówką. Jedyny „ślad” tego, co nazywa pani zaszukaniem to to, że na przykład ludzie rozmawiający ze mną po „Kobiecie zawiedzionej” są zdziwieni, iż gram postać tak kontrastową od Agnieszki.

- Czy bała się pani zagrać Modrzejewską?

- Bałam się jak piorun z wielu powodów, nie tylko dlatego, że nie podołam, czy że zagram postać fałszywą. Przede wszy-

stkim wiedziałam, że Modrzejewska była naszą największą aktorką. Tak ustaliła historia. Kiedy robi się film o największym kompozytorze słysząc jego utwory, o malarzu - pokazuje się jego obrazy, a aktorka... czy to znaczy, że miałam zagrać najlepiej na świecie... Jak? A poza tym, gdybym zaczęła grać tak jak ona, według opisów, dzisiaj byłoby to śmieszne. W rezultacie myślałam, że służyłam jej wiernie. Jeśli nie zawsze historycznie, to zawsze wiernie jako kobiecie, jako człowiekowi. Podczas realizacji tego filmu bałam się jeszcze czegoś innego. Praca nad całością trwała rok i cztery miesiące. Nie mogłam robić nic innego. Przez cały czas widziałam ekipę realizującą film. O 6.00 rano wchodziłam do wytwórni, a o 22.00 z niej wychodziłam. Nie wiedziałam, co się dzieje dookoła mnie. Nie widziałam rodziny ani znajomych. Zupełnie jak w więzieniu. Zostałam wyłączona z życia. Pamiętam, pierwszego dnia zdjęciowego nagle to sobie uświadomiłam. Zaczęłam tak strasznie płakać, że musieliśmy przerwać pracę i robić charakterystycję jeszcze raz.

- By zdobyć to, co Pani się udało, to wystarczy mieć talent i być pracowitym?

- Nie, składa się na to wiele elementów. Między innymi szczęście, a ja dodatkowo mojemu bardzo pomagałam. Umiałam zawsze każdą szansę wykorzystać i zrobić z niej użytek do końca.

- Jak?

- Właśnie na przykład pracą. I jeszcze jedno, mam bardzo wielki szacunek dla mojej publiczności. Nigdy jej nie lekceważyłam. Przez całe 20 lat mojej pracy chciałam zrozumieć co lubi, czego ode mnie chce. Staralam się poznać, w jakim jest stanie duchowym, w jakich warunkach żyje i co chciałaby zobaczyć. Przez 20 lat ani jednego wieczoru nie

można było powiedzieć, że gram źle, bo mi się... nie chciało.

- Ani jednego?

- No, nawet jak mi się nie chciało na początku, to po 15 minutach zapalała się jakaś iskra i przychodziła mi ochota. I sądzę, że publiczność to lubi i czuje.

- Jest ktoś o kim może Pani powiedzieć, że jej pomógł w karierze?

- Wiele osób. Ten zawód zawsze wykonuje się w zespole. Zawsze, nawet jeśli stoję sama na scenie i gram monodram. Ale przede wszystkim wymieniałabym Andrzeja Wajdę i mojego męża Edwarda Klosińskiego.

- Czy monodram jest tą formą przekazu, którą Pani najbardziej lubi i ceni?

- Od kilku lat mam w swoim repertuarze monodram. Najpierw była to „Biała bluzka”, później „Shirley Valentine”, a teraz „Kobieta zawiedziona”. Wszystkie te trzy role są zupełnie różne. Monodramu - to jest test na wszystko. Czy jeszcze potrafię skonstruować spektakl, wieczór, rolę, czy wykupują na mnie bilety... itd., itd. To niebywały zawodowy trening.

- Słyszałam, że podczas pracy nad „Białą bluzką” Pani i reżyserująca spektakl Magda Umer nie byliście we wszystkim zgodne. Dochodziło nawet do płaczu.

- To prawda. Plakaliśmy, kłóciliśmy się, a potem godziliśmy. Na nasze próby - chyba że dwa razy - przyszła Agnieszka Osiecka, zawsze ubrana była w białą bluzkę... Po kilkunastu minutach wychodziła twierdząc, że nie może z nami wytrzymać. No, ale były to twórcze nieporozumienia i razem z Magdą osiągnęliśmy zamierzony cel.

- Czy istnieje taki film z Pani udziałem, którego wszystkie kopie i oryginał najchętniej spaliłaby Pani?

- Kilka, a nawet połowę moich ról. Ale nie mam takiego jednego, którego szczególnie nienawidzę. Jest wiele, których za żadne skarby świata nie oberzabiałabym po raz drugi i cxcę o nich zapomnieć.

- Role, o których nadal Pani marzy?

- Te, o których kiedyś marzyłam realizuję w tej chwili jako reżyser. Wiele razy dziennikarze, reżyserzy i dyrektorzy pytali mnie: Co chciałaby pani zagrać? Ja wymieniałam i ich nie zagrałam. Teraz role te po prostu „robię” jako reżyser. Najpierw była „Hedda Gabler”, teraz „Cyd”.

- Oglądając jakikolwiek film ocenia Pani grę innych?

- Oczywiście. Jeśli się wzruszam, to analizuję dlaczego. Kiedy mnie coś śmieszy, zastanawiam się, jak to osiągnięto. To automatyczne, silniejsze ode mnie.

- Na festiwalu piosenki w Opolu w 1976 roku wystąpiła Pani w roli piosenkarki. Dlaczego?

- Zaśpiewałam „Gumę do żucia” marząc, żeby publiczność zaczęła mnie lubić po „Człowieku z marmuru”. Potem było wiele innego śpiewania i piosenek z rozmaitych powodów. Między innymi „Bo ja jestem proszę pana na zakręcie”.

- Jak zaczęła się Pani zagrańcza kariera?

- Dostałam propozycję zagrania roli w filmie Ives Boissetta „Szczer” (jest to dzisiaj klasyk telewizji satelitarnej) u boku Linó Ventury i Michela Piccoli. Propozycja przyszła po



Fot. Zofia Nasierowska

moich rolach w filmach Wajdy, pokazywanych za granicą.

- Jest Pani w ciągłym ruchu, zapracowana. Proszę powiedzieć, czy Krystyna Janda kiedyś odpoczywa?

- Odpoczywa...

- Jak?

- Pracując!

- To jest choroba.

- No pewnie, że choroba, ale mnie to tak nie męczy, jakby się mogło wydawać. Na szczęście pracę uważałam zawsze za pewną formę zabawy.

- Co Pani czytuje?

- To, co jest mi aktualnie potrzebne do roli. Teraz czytam „Życie codzienne w średniowieczu” oraz „Historię Hiszpanii XI w.”.

- A co by Pani czytała na bezludnej wyspie?

- „W poszukiwaniu straconego czasu”. Książka ta mnie uspokaja i godzi z losem, ludźmi i światem.

- Jak rodzina znosi to, że jest Pani ciągle w rozjazdach?

- Bardzo dobrze. Lubią, kiedy przychodzę na chwilę i są przyzwyczajeni, że wychodzę. Tak naprawdę, jestem z nimi cały czas. Dla nich na przykład kupiłam telefon komórkowy, którego numer znają tylko oni.

- Nadchodzą święta Bożego Narodzenia. Spędza je Pani rodzinie?

- Zdumiewają mnie znajomi, którzy na święta wykupują jakieś wczasy. Ja sobie tego nie wyobrażam. Święta są u mnie. Jest moja rodzina: mąż, dzieci, mama, ojciec, siostra, jej córka... No i tradycyjne święta, w które tradycyjnie klóć się z mężem o lampki na choince. Już w tym roku moja przyjaciółka powiedziała, że nam kupi kilka kompletów, ale to nie pomoże. W zeszłym roku też były nowe tylko amerykański przelącznik nie pasował do polskiego, no i się nie świeciły.

- Przez całe święta?

- A nie. Mąż pojechał w nocy i od kogoś pożyczył. Przez 17 lat mojego małżeństwa nie mogę pojąć tego, że u operatora filmowego nie działają lampki.

- Gdyby miała Pani możliwość przeniesienia się w czasie, to gdzie chciałaby Pani wyładować?

- Teraz i tutaj. W Polsce i w tych czasach.

- Jest coś, czego Pani najbardziej żałuje?

- Coś tak jedyne to nie.

- Gdyby miała napisać Pani o sobie notkę, np. do encyklopedii, czy napisałaby Pani, że jest osobą szczęśliwą?

- Nie. Tak o mnie mówią wszyscy i ja sama o sobie też. Ale jeśli miałaby to być notatka do encyklopedii, to bym tak nie napisała. Wiem, że się kojarzę z sukcesem i powodzeniem. Ale w encyklopediach wymienia się tylko tytuły sztuk i ról. I dobrze. Co kogo obchodzi, co było za kulisami tych tytułów. Z tego to „szczęście” i tego te „tytuły” wymagają.

- Najczęściej bohaterki kreowane przez Panią to osoby ekspresyjne. Czy w życiu prywatnym też Pani okazuje tak swoje emocje? To nie pomaga.

- Zwrot, który naprawdę do mnie pasuje brzmi: „Kocham Cię do przesady” - ile ja przez to popelniam błędów. Powinna być rozsądniejsza...

- Próbowala Pani?

- Wiele razy, ale to jest tak jak z utrzymaniem porządku w torebce. Kilka razy udawało mi się go nawet zrobić. Ład ten nie trwał jednak długo. Z zachowaniem rozsądku jest identycznie. Nie ma żadnej różnicy między porządkiem w torebce, a byciem rozsądną. Żadnej. Obydwie rzeczy są tak samo nudne, jak i nie do wykonania.

- Proszę się przyznać, jakich pytań zadawanych przez dziennikarzy Pani nie znosi?

- Pani Krystyno, jak to się zaczęło?, albo: Niech pani powie jak daje sobie radę z domem i zawodem - jednocześnie? To też uwielbiam. O i jeszcze takie genialne: Czym dla pani jest ten zawód? Co Pani woli film czy teatr? lub: Czy Pani teraz gra, czy jest sobą? Mam taki zestaw pytań, z których mogłabym zrobić wywiad-standard.

- Dziękuję za rozmowę.